

dania w rękę nie mieliśmy dla porównania z tłumaczeniem francuskim, już zmodyfikowanym, nad czelem wielce ubolewamy. Tłumacz bowiem francuski, przyjaźniejszy Polsce, obciął co tu było najpoczwarniej przesadzonego i chorobliwą przejętego żółcią, zostawiając tylko istotnie zajmujące szczegóły. Ale i potwarze mają swą historyczną wartość. (*Voyage en Pologne et en Allemagne, fait en 1793 par un Livonien, traduit de l'allemand. bez imienia tłumacza P. Eyriés.*) Bruxelles. 1807, dwa tomy w 8ce.)

Mijamy obszerny wstęp autora o Polsce, w którym oprócz jego niechęci dla nas i powierzchownego na dzieje poglądu, nic nie uderza szczególnie. Z Rygi podróżny wyjeżdża do Mittawy w kwietniu 1793 roku i w Kalm wita ziemię litewską, przejeżdżając rogatkę polską od granicy Kurlandji. Uderza go zaraz fiziognomja kraju nagłe się zmieniająca, krzyże katolickie po gościńcach, a trochę nieład i brak porządku. Bura siermiężka pocztyliona, zaprząg ze sznurków złożony, wydarte łokcie powążącego, fałszywa trąbka i grzeczna uniożność, stanowią pierwsze miejscowości rysy. Z Kalmu jedziemy do Janiszek, pełnych żydostwa i niechęciowie też opisanych; krzyże po drogach niecierpliwą infantczyka i odkrywają w nim pół filozofa pół protestanta.

Z temi myślami dojeżdżamy do Szawel, mających już wedle niego postać miasteczka dosyć nawet porządnego; chwali on tu prawie brkowaną ulicę, kościoły i domy znaczniejsze, opujące rynek i daje charakterystykę fiziognomji żydostwa polskiego. Żydek w zasmolonym kosażku, w brudnej koszuli, z krótkim batożkiem w rękę, zręcznie i raźnie powoził autor do Radziwilliszek i zasłużył też sobie na nieoddzianą nieśmiertelność. Jadąc dalej kreślił obraz kraju, wspomina jego opuszczone miasteczka, gościniec ledwie oznaczony dwoma rogatkami, kurne chaty i t. p. tak dojeżdżamy do Szawli, Montowidowa i Kiejdan. Pierwsze to po Szawlach znaczniejsze miasto które ogląda podróżny, a w niem spotyka huzarów i zmuszony jest paszport swój pokazać. Dojeżdżamy do brzegów Wilii, na których wdziku poznał się śledziennik przecie: wzgórze, lasy, woda, uderzają go pięknnością pejzażu, i nie dziw bośmy właśnie pod Kownem. Przejazd w Kownie nie poszła łatwo, mamy też jej opis szczegółowy, i wjeżdżamy do Kowna, którego niegdys a upadłego już grodu litewskiego. Tu zwracają naprzód uwagę turysty gotyckie domostwa szczytami w wojnach szwedzkich pokaleczonymi; szczyty te były albo podwójne i zaokrąglone w górze, lub pojedyncze, zakończone spiralną ozdoba i szpicą. Kilka także kościołów w tym stylu i budowy Jezuitckiego Kollegium chwali autor. Na ratuszu piękna stara wieża wysoka, otoczona była jak rynek cały wówczas działami; do koła miasta opadłe mury okolne świadczyły tylko o jego przeszłości wojennej. I o lipcu kowieńskim nie zapomnieli nasz podróżny, dziwiąc się że miłośnicy jego płacili butelkę napoju po pół trzecia dukata.

Przebywamy Niemen z pomocą zbyt usłużnego kaprala, mijamy jakąś koloniję niemiecką, i jedziemy dalej doliną Niemnową, zalaną wiosennymi wodami. Coraz tu już wyraźniejsza

wiosna, zieloność i ciepło i dojeżdżamy do Pren, gdzie zastajemy piechotę polską. Z Pren do Balwierzyszek leci poczta z nami nad doliną Niemnową, po wzgórzach lasami okrytych nad zielonemi równinami, które zachwycają autora, rozpaczającego ażeby mógł ich piękność opisać. W Olicie uderza go niedokończony piękny dom Podskarbiego Tyzenhausa i klasztor na górze, a w koło nadzieją pięknych żniw okryte pola. Piaskami i lasami ciągniemy się do Lejpun i Przewałki, wśród obrazów przeslicznych dolin nadniemnowych.

Jesteśmy nareście w Grodnie, które autor pochwalił raczył—domy i kościoły, bielejące wśród mnóstwa czarnych drewnianych budowli, nadają mu właściwą fiziognomiję. Wjazd nawet wedle niego powagi pełen, ale go razi nieustanna sprzeczność nasza, obok pałacu lepianka, przy świeżej nieukończonej budowie rudera.

Grodno zastał ludnym, ożywionym, wrzawliwym; mieszkało w niem czasowie kilku posłów i magnatów polskich, dla przyszłego sejmu przybyłych, był i król na zamku z wielkim dworem swoim. Na ulicach posuśno, galancko latały wspaniałe powozy. Kupcowe strojów z Warszawy, aktorki i piękności różnego stanu i powołania, ukazywały się we wszystkich oknach. Drożyna była ogromna, bo mała izdebka i łóżko do trzech czerwonych złotych dziennie kosztowały a nędzny obiadek około dwunastu złotych, wóz siana czterzy dukaty i t. p. Niepopasał też tu długo nasz infantczyk, nie zwiedził nawet ani fabryk Tyzenhausa, ani szkoły chirurgów i ogrodu botanicznego, odkładając to na tańsze czasy, a zmykając od drożyny.

Tyzenhausowska droga uderzyła podróżnego, ale kraj już ku Sokółce się zmienił, gdzie zastanowiły jeszcze prace Podskarbiego, mieszkaniem fabrykantów obudowany rynek, już po części w ruinach. Słusznie powiada autor, że Tyzenhaus zgubił się zbytnią niecierpliwością i pośpiechem, a choć to nie były główne powody jego upadku, pewnie się przyczyniły do niego. Z Sokółki jedziemy do Białego Stoku, którego czystość i porządek umiał ocenić podróżny. Tu wjechał wśród muzyki, zabawy, trochy wrzawy i pijatyki, gdyż miasteczko pełne było wojska w najlepszym hamorze biesiadującego. Budowle polskiego Wersalu i ogród *romantyczny*, wiele się podobały infantcykowi, zwłaszcza jedna przepyszna ulica, która wraz ze śpiewającym słowikiem aż do serca mu przemówiła. Szczęśliwy słowik! szczęśliwa ulica! W pałacu już było nago i pusto, bo Pani Krakowska mieszkała w Warszawie, ale apartamenta zastanawiali wspaniałością.

Z Białego Stoku jechał przez Bielsk podlaski, gdzie znowu spotkał się z piechotą polską i z tego powodu umieścił w swój podróży zdanie o wojsku ówczesnym, zresztą nie nowe weale, gdyż utrzymuje, że polacy stworzeni są raczej do konia niż na pieszych wojowników.

Z Bielska ruszył nasz autor do Węgrowa przez Brańsk i Sokołów, ale w tej części podróży ledwie napomyka o przebytych miasteczkach i 7 maja stajemy z nim w stolicy. Tu się dopiero zaczyna najbardziej zajmująca część jego podróży. Obraz ogólny przejażdżki przez

Litwę, choć nie chętną kreślony ręką, maluje kraj ten raczej z dobrej niż złej strony; chciał autor przedstawić go niekorzystnie, a dał nam tylko takim jakim był, to jest ubogim, nieuporzadkowanym, ale mimo to nawet dla tak wybrednego jak on śledziennika miłym. Może też to, co wprzód Coxe o Litwie napisał, i potrzeba posprzecznania się ze swoim poprzednikiem, dostarczyły miłszego kolorytu tej karcie. Przytoczmy tu niektóre uwagi ogólne:

„Litwa, pisze anonim nasz, raczej jest płaska niż wzgórzysta; role uprawne i lasy w równiej ją niemal ilości składają. Rolnictwo tu tak staranne jak tylko w tym kraju być może; uważałem nawet, że w wielu miejscach postępowało sobie wedle zasad rozumowanych, jak w Czechach i Saxonii. W ogóle ziemie wyborne, a klimat bardzo przyjemny. Gdym opuścił Inflanty i Kurlandję, zboża tam ledwie się wytykać zaczynały, a o dziesięć do piętnastu mil dalej na Litwie, już niemal były w kłosach, drzewa także okrywały się liściem, wierzby i tarnina kwitła, brzozy były zielone, łąki śliczne okrywały trawy. Ogromne stada bydła pasły się na nich, a trzody były mnogie i piękne. Ale na widok lasów smutek ogarniał. Wielkie to złe gdy niedostatkowi towarzyszy lenistwo; przejeżdżałem wzdłuż kilku-milowe puszcze, a do koła dróg pełno było drzew obalonych na ziemi. Jedne podpalone zostały u dołu żeby ich nie ścinać, inne niszczy wilgoć i zgnilizna. Wielkie przestrzenie lasów znajdowałem wyniszczone i puste, a smutek porывał na widok całych szeregów pni ekopconych od ognia i sterczących jak słupy, lub wygorzałych przy ziemi. Gdzie niegdzie drzewa i wrzosi dymyły jeszcze od świeżej spalenizny. W czasie chłodu pasterze przez złość (?) lub lenistwo podkładają ognie pod najlepsze drzewa i przy nich się grzeją. Nie chce się im zbierać suchych gałęzi, któreby i prędzej i lepszy ogień dały, a potrzeba komu węgla, podpali drzew kilka i tak go sobie przysposabia.

„Handlowe też przedsiębiorstwa niszczą okrutnie te lasy; z wielkich drzew biorą tylko część ich grubą, od pnia do dziesięciu lub piętnastu stóp w górę a resztę rzucają na gnacie. Kilka razy widzieliśmy się zdarzało reszty tych drzew, użyte na płoty pól i ogrodów i musiałem jeszcze w duchu pochwalić przeczność tych co sobie tak postąpili. W kilku bowiem miejscach drogi trafiały mi się drzewa leżące w poprzek gościńca, a rozrąbane tyle tylko żeby mógł przejść powóz, z boku zaś gnijące.

Te dowody lenistwa i niedbalstwa, przekonują jak wieśniak litewski mało jest troskliwy, ale w niedbalstwie nieprzechodzi wszakże infantcyków, kurlandczyków, rusinów, polaków i węgrów. Wsie litewskie są nędzne bardzo, chaty z drzewa i słomy klecone bez kominów. Każda wieś przedstawia obraz nieładu i zniszczenia: nic pospolitszego tu nad opadłe ściany i odarte dachy. Widziałem szopy całkiem ścian pozbawione, nad któremi wisiły tylko resztki zgniłego pokrycia.

Pomimo to Litwini są w ogóle urody pięknej, rośli, silni, dorodni, wąż daje im minę wojacką; suknia ich pospolicie gruba, spodnie szerokie spadające do kostek, obowie z kory drzewa, nadają im jakąś fiziognomiję wschodnią. Na

głowie noszą czapki futrzane formy niemal dawnej peruki. Kobiety mają odzież długą i spódnice; na głowie ubior z chusty płóciennej, związanej tak że końce spadają na ramiona. Reszta stroju jest z tkaniny wełnianej ich własnej roboty i niefarbowanej, ale białej lub brunatnej. Dzieci w kapotach, bosy chodzą przez całą zimę.

„Wjeżdżając do Polski, wielka się różnica postrzegać daje: sukni krój już nieco odmienny, mniej są grube, płótno użyte cieńsze także, obowie z kory zastępują bóty, bo polski wieśniak woli już bosy jak w kurpiach. Na odzieży znać krawca, a charakter sukni nadaje mnóstwo przy niej guzików i pętlie.”

Taki nam obraz kręśli, prawdziwy dziś jeszcze w wielu względach; ale prowincya mniej naówczas zwracała uwagę, i zwyczajem wieku i podróży autor największą część książki swęj poświęcił stolicy, do której z nim nareszcie wjeżdżamy.

Zaczyna się opis od obrazu Warszawy ze strony zewnętrznej, malowniczej, którą oglądał z latarni kościoła ewangelickiego, i ten punkt jako najlepiej pozwalający uchwycić całość, zaleca. „Warszawa, powiada, składa się w ogólności z mieszaniny domów bardzo wysokich i poziomych, czarnych, szarych, białych, pomieszanych z sobą, wśród której zaledwie gdzieś ukazują się ulice z budowami poważniejszymi i weselszemi. Stare Miasto tylko ma domy prawie wszystkie równo wzniesłe, ale tak ściśnięte, że ledwie wśród nich dostydzić się dają uliczki.” Mamy tu obrazek okolicy piaszczystej, po tém Wisły, wręście domów; nowe pałace chwali podróży, starsze, powiada, składały się z obszernego podwórca, głównego korpusu i dwóch skrzydeł, zamkniętych z czwartej strony piękną kratą żelazną. Dziwne jest tłumaczenie z czego powstać miały w Warszawie drobne domki obok pięknych gmachów. Niemiec bowiem sądzi, że je stawiano dla pomieszczenia w nich rzemieślników i robotników, których wielcy panowie sprowadzali z dóbr swoich, wznosząc wspaniałe miejskie pałace. Mogło to być wyjątkowo ale śmiało rozciągnięciem zostało jako prawidło ogólne. Mennica i Biblioteka Załuskich nie zasłużyły na pochwały, ale za to szpitale i koszary znalazł bardzo wspaniałemi, osobliwie Ujazdowskie.

Ulice nie wszystkie jeszcze były brukowane i po większej części błotniste, a w czas pogodny pełne nieznośnego pyłu. Liczono wówczas 192 ulic i przejść, z których jedna, dwie, dzieśięć okazałych, pięćdziesiąt średnich, a reszta niedostępnych prawie. W deszcz zalewało je błoto niezgruntowane. Krakowskie Przedmieście było już wówczas najcelniejszą częścią miasta i pyszniło się jedenastu pałacami, mnóstwem domów piccio i sześciu piętrowych; po niem szła ulica Senatorska, Miodowa i Długa, z pięcią pałacami, trzema kościołami i klasztorami i arsenalem. Najsmutniej wydawało się Stare Miasto, z uliczkami ciasnymi, błotnistymi, otoczonymi domostwy wysokimi i zaciemniającymi. Przedmieścia: Nowo-miejskie, Alexandrowskie i Leszno, miały pozór dość porządku i czysty.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KORRESPONDENCYA GAZETY WARSZAWSKIEJ.

18 (30) października 1853 r.

(Dokończenie.)

(Patrz Nr. 303.)

Czytaliśmy tu z zajęciem ostatni list pana Kraszewskiego do Gazety o literaturze współczesnej i uwagi o niem p. Szymanowskiego w innem piśmie. Trudno jest nie przyznać prawdy p. Kraszewskiemu co do myśli jakie rzucił o romansie. Są to trafne i głębokie zdania, lecz na to co napisał o ruchu literackim w Poznańskim i Galicyi, czekaliśmy protestacyi nie z Warszawy lecz ze stron tamtych. Nie śledzimy tamtego piśmiennictwa do tyła szczegółowie, ażebyśmy tu z naszym nastęrczali się zdaniem, zdaje się nam wszakże, iż sąd o niem był za cstry. Korzystając ze zręczności mówienia o p. Kraszewskim, p. Szymanowski dał nam w końcu recenzję »Diabła.« Starał się powybierać z owęj powieści wszystkie słabe strony, lecz wyznajemy, iż niezgadamy się z p. S. na wielu miejscach i powieść tę z odmiennego sądzimy punktu. Ze diabeł nie jest utworzony wedle tradycyji ludowych, nie liczymy tego za wadę, mając na względzie epokę i ludzi którzy są wyprowadzeni na scenę. Zdaje się nam, iż diabeł polski byłby tu anachronizmem. Diabeł p. Kraszewskiego zakrawa więcej na diabła francuskiego, lecz trzeba przyznać, iż w owe czasy, jeśli w Warszawie byli istotnie diabli i należeli do intryg powieściowych, to pewno nie inni jak francuscy. Wstrzymujemy się tu ze zdaniem naszym, tak dla tego iż nie piszemy recenzyi, jak niemniej iż chcemy zawsze odzywać się o autorze który ma tyle u nas współuczucia i prawa do szacunku, z rozmyślnem zdaniem, a jeszcze tej powieści nie czytaliśmy z tą uwagą, któraby nas ośmieliła do podobnego kroku.

Jest *Gazecie* dziś zaprawdę winiszować czego. Tacy pisarze jak Kraszewski, Korzeniowski i Zyg. Kaczkowski, ozdobią każde pismo. Przeczytaliśmy świeżo w waszój *Gazecie* opowiadanie p. Korzeniowskiego *Sceny na balu* i nie możemy nie uznać tego pięknego talentu, tego wdzięku opowiadania, których tajemnicę posiada autor w wysokim stopniu. Streśmę każdą powieść p. Korzeniowskiego i cóż w nich znajdziemy? fakta zwyczajne. A jednakże patrzymy: co z nich robi to prześliczne pióro! opowiedzmy tę treść własnymi słowy — a wyda się nam mierną. Słuchajmy gdy ją opowiada p. Korzeniowski, a wnet nabiera i wdzięku i życia. A też moralność, ta czystość myśli, ta przyzwoitość, w które ubiera p. Korz. intrygę powieściową, nawet gdy skreśla ujemne strony społeczeństwa? Podziwiamy to, cenimy wysoce, może więcej jak każdy z czytelników, bo próbując w tém zawodzie sił swoich, wiemy, jak osiągnąć podobne stanowisko jest trudno.

O wszystkich nowych dziełach opuszczających wasze i wileńskie prassy, nie wiemy nic zgoła prócz ogłoszeń które nam dajecie. Księgarze nasi, pryncypalnie pp. Glücksberg i Zawadzki, starają się zwykle zaopatrzyć w nowości literackie na kontrakty kijowskie, a że czytać je wtedy nie mamy czasu, więc dopiero po kontraktach oznajmiamy się z nimi. U nas samych, ruch literacki i nie wielki i nadto rozstrzelony, ażeby mógł was obdarzać nowinami częstemi

i świeżemi, nota bene jeśli chcieć mówić o istotnych. Pan Pług drukuje w Wilnie we trzech tomach „Rodzinny zagon“, gdzie wejdą powieści: Spowiedź — Głowa i serce — Gość z grobu — Dzieciobójca — Zaraza — i Marcin futornik. Poezje jego także wyjdą u Zawadzkiego. Co robi Kijów? a raczej: czy piszą tam i co piszą? o tém, chociaż to od nas niedaleko, żadnych niemamy wiadomości.

Nowiny z prowincyi dają się wyczerpać bardzo prędko. Jak się raz opisało porę roku, a tę, siedząc na wsi, opisać koniecznie trzeba, rzeczy zostają *in statu quo* do następnej pory. Otóż od miesiąca mamy jesień, która w coraz ostrzejszy rysunek ubiera krajobrazy. Prawda, że obecna jesień u nas przesłizna, — niebo jasne — dnie pogodne — ale liść szeszeszcze pod stopą, jaskółki i bociany znikły a żorawie ciągną a ciągną na południe. Jeszcze do dziś dnia i spacer konno i polowanie miłą są rozrywką, ale ot jak nie widać zaświsczącą wiatry, nalecą mgły i chmury i nasze jasne spędzane pod niebem godziny, nasze wiejskie na balkonach herbaty, zamieniają na długie w zasklepionych pokojach wieczory. I tak będzie aż do czasu, gdy zbudzeni ze snu białością niezwykłą, jednego pięknego poranku ujrzemy przez okno dachy wieśniaczych chat i drzewa i ziemię ubielone śniegiem. Ta zmiana zajmie nas przez czas jaki i zabawi jak dzieci. Tu chrupa śnieg pod stopą przechodnia, tam ślizgają się sanie, tu z drzew ogrodowych nabrzędkłych szronem, poformowały się jakieś srebrne katakomby a na gałązkach przed samemi oknami wieszają się sikory i gile. Przyjmnę tu wam piękny obrazek zimy z Lipskiego:

Twardy mróz ujął ziemię, chociażbyś po bagnie  
Kartaony prowadził, pewnie się nie zagnie;  
Kryształowym wątpliwe brody spiał pokostem  
I bystre rzeki szklannym pojnmował mostem.  
Biały śnieg jako z woru na ten świat się kida:  
Bo się słońca z uboczy nie a nie nie wstyda;  
Lecz skoro oszedzieje, skoro mrozem spierzchnie,  
W rozliczne glance iskrzy swe lilije zwierchnie.  
Więc komu przyszła wojna głowy nie ugryza,  
Delikacko na płytkich saneczkach się śliza.  
Swiszczą smyczki z daleka gościułem utartem  
A dropiaty, jak rarog leci pod lampartem.  
Kto myśliwy, po śniegu zwierza z charty tropi,  
Nasz starzec przy kominie, grzanki w piwie topi,  
A coraz pisanego nachylając garca,  
Już syty tego świata, czeka z gołą marca:  
Nie idą mu w gust żadne przejażdżki i sanki,  
Zjadłszy zęby, woli ssać rozmoczone grzanki.  
Toć ostatnia człowieka uciecha, komu się  
Da Bóg zstarzec i późne oglądać prawnusie.

Takiego to czekamy widoku i podobnych przyjemności. Czegóż chcecie? Musiemy śpiewać sielanki i może jak dla was, zdć się troszkę naiwni, kiedy nie można inaczej. Zamiast niezapominać o was, bogdaj czy nie większe mamy prawo wołać byście nie zapomnieli o nas. Otóż pamiętajcie, iż kiedy wy przepędzacie czas w oświeconym teatrze lub na balowej sali, natenczas my, w kółku domowem czekamy na posłańca z pocztą, wiozącego nam gazety, tę jedyną rozrywkę zamieniającą tysiąc waszych.

Z Ukrainy

Tadeusz Padalica.

Złomierz 12 (24) października 1853 r.

Wpatrując się w szermierstwo literackiej krytyki, zgodzimy się łatwo, że mniej byłoby gwaru i szwaru, a więcej treści i pożytku—gdyby szanowni zapańnicy, przed zaostreniem piór i umocnieniem ich w różnokolorowy atrament, porozumieli się pierwaj z sobą: *jaki jest właściwie cel krytyki w ogólności?*—Nie inny—pozwalam sobie odpowiedzieć—jak tylko wykazać twórcy artyście uchybienia, których nadal chronić mu się wypada i ostrzedz ogół o estetycznych, historycznych lub moralnych błędach; żeby przez nieobaczne przyjęcie skażonego lub niesumiennego utworu, nie stracił smaku w rzeczach piękna, nieskrzywił sądu w rzeczach prawdy—niepokalał uczuć i wierzeń w rzeczach dobra. Zpatrując się z tego stanowiska na krytykę—jako sumienny objaw wyższego umysłowego i moralnego ukształcenia ogółu, przyznajemy: że oprócz dowiedzionej znajomości traktowanego przedmiotu, powaga, wyrozumiałość i spokój, są nieodbitymi jej warunkami; bo one świadczą nam mają o bezstronności i zdrowym stanie sądu i sędziego. Dobór zaś uszczypliwych wyrażen i wszelkie, choćby najszczęśliwsze na pozór dowcipkowania, zamiast treści wypowiedzianej z szczerością, z godnością, uwłaczają świętemu powołaniu krytyki, jako środki nieodpowiednie jej celowi. Dziwno, dla czego dotąd nie możemy się przekonać, że wszystkie owe humoreski krytyczno literackie, są wyraźną obrazą, nie sądzącego, ale sądzącego, i ogółu, któremu smia brząkać ekliwami konceptami, lub szczyrykowym dowcipem. Niezgodzę się bowiem nigdy, żeby śmiesznością można działać skutecznie na ogół, a tém bardziej na autora lub artystę, wybranego do tej niewinnej zabawki recenzenta. Możemy tylko, boleśnie ranić zasłużonego pracownika, obrzucając błotem, jak słusznie powiedział pan Seweryn Gołębiowski, to co on ukochał, to w co przelał część swojej duszy. Możemy poczynający młody talent zniechęcić, odpedzić od pióra lub pędzla, do zielonego stolika lub butelki... Ale nigdy sprostać zbytkanemu i wdrożemu do pracy, serdeczną wróżbą współuczucia. Co się zaś tyczy ogółu, znajdzie się może ktoś w tłumie, którego dowcip rozśmieszy, ale śmiech nieobraca się na pożytek, bo nie przez śmiech, a tém bardziej nie przez szyderstwo, świat się oświeca i zbawia. »Naszym celem wszystkich dobro, naszą siłą wszystkich miłość, naszą bronią słowo szczerze!« Oto podług mnie jedynie odpowiednie godło przy umysłowym starciu się w imię prawdy i piękna. Ale u nas, a podobno i gdzie indziej, nie podejrzewając celów i arkanów siły, najulubieńszą bronią jest dowcip, sarkazm, ciskane najczęściej cichaczem, pod jakimś pseudonymem, albo kabalistyczną cyfrą. Zdajemy się iść na wyścigi z popisami dobrego lub złego humoru, tam, gdzie potrzeba światła i ciepła! Słowem, ubolewać przychodzi, że krytyce literackiej braknie w ogóle kapitańskiej powagi, namaszczenia, braknie czoła wygładzonego pokojem, tym niebiańskim kwiatem duchowego wykształcenia, duchowej wyższości. Przy lada zręczności, pęknie kilka krytycznych niby artykułików, na podobieństwo fajerwerkowych rakiet, jakby nam w duszy nie starczyło już błyskawic i gromu!

Dowcip, byle nierozpasany, nie gminny, nie jest wcale do odrzucenia, ale tylko dla przyprawy, dla odetchnienia myśli powołanych i powoływanych do wyższych celów; a może nigdy, lub jak najmniej, jak najostrożniej w krytyce literackiej...

Niewyczerpuję mojego przedmiotu, bo wolen wszelkich roszczeń do sądzenia o dziełach nauki i sztuki, dałem się wymknąć tym dorywczym słowom, wyzwany jedynie lekkością, z jaką pan A. Z. W. stara się znęcać nad Teką Michała Kuleszy. Nie myślę tu przedsiębrać artystycznej obrony jego utworów, przemawiających dostatecznie za sobą, a tém bardziej, nie myślę narzucać mojego zdania, bez żadnego autorytetu. Pozwalam sobie tylko domyślić się, że szanowny recenzent, przejrząwszy na zimno swój artykuł, pożałuje zapewne docinków, jakimi odplacił pocziwą, sumienną pracę pana Kuleszy. Uczuje zapewne, że w obecnem położeniu sztuki u nas. targając się na jednego z jej pracowników, targnął się na nią samą—i coś z pod serca mu powie: »że się niegodzi, niegodzi!« Uważam to za pewnik psychologiczny, niepotrzebujący dalszego dowodzenia i osobistego zeznania.

Jan Prusinowski.

# BRACIA ŚLUBNI.

POWIEŚĆ W 3ch TOMACH  
Z CZASÓW AUGUSTOWSKICH,  
przez  
Zygmunta Kaczkowskiego.  
TOM I.

(Ciąg dalszy) (\*)

I jeżeli tak rozumował pan Łowczyc, to miał słusność zupełną, ale w tém śnać nie miał słusności, jeżeli myślał z kapitańskiej rangi w lejbgardzie zaraz awansować gdzie dalej. Hetman Branicki był pan dobry i o swe sługi dbały jak ojciec, ale nie łatwa była służba u niego, a bardzo łatwe batogi. Jakoż i ten Sulerzycki, który po Osuchowskim tymczasowo objął lejbgardy komendę, w kilka lat jeszcze potem także tak boleśnemu musiał uledeć losowi, jak jego poprzednik. Ale z innej przyczyny, a to z następującej. Był on bratem rodzonym i najmłodszym owego Andrzeja Sulerzyckiego, którego, jak to wiemy od szlachty targowej w Łatesowej winiarni przeszłego roku zgromadzonej, za gwałtowność kazał być ściągć Marszałek Trybunału, Karwicki. Było jemu Leon na imię i był z niego młodzieniec duszy wyniosłej i serca czułego; jakoż oną stratę brata, którego zawsze uważał być wcale niewinnym, długo nie mógł zapomnieć. W krótkim czasie potem zdarza się tak, że ten sam Karwicki przyjechał do pana Branickiego do Białegostoku. Sulerzycki, służąc z talerzem swojemu panu przy stole, przy którym siedział Karwicki, a nie mogąc znieść widoku zabójcy swojego brata, utoczył nożem krwi z swojej ręki na talerz i w oczach wszystkich podał go Karwickiemu, mówiąc:

Patrz Nr. 265, 266, 267, 268, 269, 270, 271, 272, 273, 274, 275, 276, 277, 278, 279, 280, 281, 282, 283, 284, 285, 286, 287, 288, 289, 290, 291, 292, 294, 295, 296, 297, 298, 299, 300, 301, 302, 303.

»Naż-ci Karwicki, napij się krwi Sulerzyckich.« Za co obruszony pan Hetman, kazał go porwać i wyliczyć mu sto batogów. Nie zasłużył wprawdzie pan Karwicki na taką obelgę, bo on wyrok jego na Andrzeja wydany powinien mu być tylko chlubę przynosić po wieczne czasy; ale téż i postępek pana Leona, który był tylko skutkiem silnej miłości braterskiej i uczucia honoru, nie powinien być tak być karany. Jakoż musiał to także z czasem poznać i pan Hetman, bo nietylko że potem na żaden sposób nie chciał puścić od siebie pana Leona, ale go nawet dwoma folwarkami i wielkiem zaufaniem swoim obdarzył, które zachował dla niego aż do śmierci. To o Sulerzyckim nawiasowo wspomniawszy, powracamy do rzeczy.

Kiedy tak przez oną dziwną opowieść Osuchowskiego, rozmowa braci ślubnych od właściwego odeszła przedmiotu i Osuchowski myśląc, że onym przykładem ze swego życia nie mały klin w głowę zabił panu Józefowi, uparte zachowywał milczenie Bobowski, albo to widząc jawnie, albo prawdy się tylko domyślając, srodze się zafrasował. Ale nie było już w Osuchowskim onego dawnego uporu utrzymania koniecznie pana Józefa w beżeństwie, i owszem, ukraińską wyprawą swoją i różnemi bądź prawdziwemi, bądź fałszywemi argumentami silnie zwichnięty w swoich dawniejszych opiniach, a jeszcze silniej w zaufaniu w swój rozum, dawno już postanowił u siebie nic się nie mieszać w plany i zachcenia swojego brata, i cokolwiek bądź być miało, nie był-by on mu się już w niczem sprzeciwiał. A lubo zdania jego o małżeństwie trąciły zawsze tém, w czém od lat tylu statecznie trwały i lubo sam dla siebie zapewne i dzisiaj jeszcze myślał i postanowił inaczej, toż jednak dla Bobowskiego całkiem już był wyrozumiały, a nawet jego dzisiejszemi zwierzeniami tak za serce ujętym i jego frasunkami tak przestraszony, że widząc teraz nowe chmury gromadzące się na jego czole, nie pytany nawet zaczął w ten sens:

— Widzi mi się, panie bracie, że on bożek pogański, którego zowią Hymenem, wziął już Waszeci na takie wędzidło, że cię już z niego nie puści. Złe to jest panie bracie, a nawet fatalnie. I nie mówię już, że dla tego fatalnie, że krew Gryffów nie jeszcze nie uczyniwszy na polu, pójdzie ra domową posługę, ale dla tego fatalnie, że właśnie z tego małżeństwa nie prognostykuję ja sobie wiele szczęścia dla ciebie.

— A to dla czego?—zapytał ukrywając swoją radość Bobowski.

— Dla tego—odpowiedział pan Łowczyc—że kiedy, jeszcze ledwie dwa kroki ku tej rzeczy uczyniwszy, tak srogie już napotykasz frasunki, co ma być potem, kiedy sama rzecz przyjdzie? Panie bracie, niedawne to czasy, kiedy byłeś w paragrafowej niewoli i duszno ci tam było okrutnie; ale duszniej śnać będzie widzi mi się w takiej niewoli, która nie wedle paragrafów stać będzie, ano w której Jejmość co moment to nowy napisze paragraf.

— Ale mój Stasin!—zawołał na to pan Józef—o jakiej tobie się śni zawsze niewoli? odkąd świat stoi regułą jest, że wszyscy się żenią, a ledwie gdzie setny jest taki, który się beziennym ostanie do śmierci; miałożby to ożenienie już takim nieszczęściem być i niewolą,

jak ty powiadasz, to już dawno byłoby to było wynaleziono i opowiedziano, a nie dopiero ty być miał być tym inwentorem... ty, który nie mówię już, że nigdy żonatym nie byłeś, ale nawet z kobietami na całym życiu może sto słów wymienić.

— O! toś dobrze powiedział—rzekł na to Osuchowski—i prawdę mówiąc, zbijeś mnie na mojem własnym śmieciu; ale mnie to dziwno, żeś pierwej kiedy tego argumentu nie znalazł, a dopiero teraz.

— Boś mnie już wewnątrz duszy mojej poruszył, bo mnie już twoją krwią zimną, twoją obojętnością zabijasz, bobym już drugi proch wynalazł nareszcie, a nietylko argument, aby osiągnąć pannę Barbarę!—odpowiedział z zapalem Bobowski.—Na to pan Łowczyk:

— No, no, Józienku, tylko nie tak gorąco; już ja widzę, że cię nikt z tej choroby nie wyleczy, pogadajmyż tedy rozumnie.

— No, pogadajmy rozumnie — odpowiedział znowu z radością Bobowski.

— Owa więc o to idzie—rzekł dziedzic Żernicki—dada-li tobie tę pannę, albo nie?

— Owa o to idzie... i ja myślę że dadzą.

— A ja myślę, że z trudna—odpowiedział pan Łowczyk.

— Czemuż tak myślisz?

— Myślę tak, bo mi się to jakiś wielki dom widzi. Podkomorzy... Jasnie Wielmożny... ma ziemię tutaj, drugie ziemię na Rusi... oprócz tej córki, tylko jednego syna... Wprawdzie to i u Bobowskich Podkomorstwo nie osobliwe, Jasnie Wielmożnych było ich wielu, ziemię mają i mieli, ale zawsze to jakoś zdaje mi się, że będą tu płoty i rowy a może i mury do przesadzania.

— Mój Stasiu—rzekł na to pan Józef—nie tak gadajmy.

— Ano jak?

— Czy chcesz żebym ja się ożenił?

— Ja niechęć—odpowiedział pan Łowczyk—ale ty chcesz i powiadasz, że w tym tylko może być całe szczęście twoje. A ma w tym być szczęście twoje, to ja nie tylko chcę tego, ale pragnę z całej duszy mojej i z całego serca...

— Mój Stasiu!...

— I nie tylko, ale pomagać ci będę, jako sam sobie wymyślisz i zadysponujesz. Niech już tak będzie. I możesz być pewnym, że chociaż jabym był wolał, żebyś ty był w czem innem to szczęście twoje upatrzył, toż jednak i do tego pomagać będę i nie masz tego dobra, którego bym nie poświęcił dla ciebie.

— Nie mój kochany—rzekł na to Bobowski—poświęcen tu żadnych nie będzie potrzeba z twej strony...

— Ha! kto to wie? bo to dwóm panom służyć nie można, a przed żoną snąc już na bok pójść musi przyjaciel a nawet i brat... rzekł smutno pan Łowczyk.

— Och! nie Stasiu!—zawołał na to pan Józef—przyjaźń nasza nierozzerwaną przeto zostanie i tak stateczną, jak była dotąd. Nie zniósłbym tego nigdy...

— Nie mów nic—odpowiedział na to pan Łowczyk—aż póki nie doświadczysz. Żony nie lubią męzowskich przyjaciół, to wiadoma rzecz. Ale gdyby i tak być miało... jeżeli to do szczę-

ścia twojego potrzebne... ja się z serca zgodzę na wszystko.

Przykro się zrobiło panu Józefowi na te słowa szczerego poświęcenia się brata, i począł się trochę namyślać i poczęła się mała w nim walka pomiędzy przyjaźnią a miłością; ale jak to zwyczajnie bywa, wkrótce kobieta zwyciężyła na tym polu, na którym zawsze zwycięża; jakoż przystąpił pan Józef do swego przyjaciela i rzekł:

— To i ty się ożń, mój Stasiu.

— Ja?—rzekł na to zadziwiony pan Łowczyk—ja nigdy. Niech już jeden z nas tylko będzie u drugiego na wtórem miejscu, ty zostańiesz u mnie aż do śmierci na pierwszym.

I znowu się przykro zrobiło panu Józefowi i znowu zaczął chodzić po izbie, a myśli, które natenczas kłębami wiły się po jego głowie i uczucia które się siliły ze sobą i prześiały w sercu, wszystkie wybiły się tak jasno na jego twarzy, że je mógł bez trudności wyczytać i wyczytał pan Łowczyk, bo rzekł w krótkiej chwili:

— Ale nie sil się już napróżno ze sobą, Józienku. Już żebyś ty mi teraz powiedział, że sam odstępujesz od tego (żenienia, to jabym nie pozwolił... i musiał byś mi być koniecznie powolnym, bo już ja nie odstąpię od tego. Za wielkie to szczęście, jak uważam, będzie dla ciebie, ażebym cię śmiał od tentowania jego odmawiać, za wielkie! Niechaj że już tak będzie. Od dzisiaj dnia zaczynaj konkurować na prawdę, staraj się o afekt u panny, staraj się o względy rodziców, a w czembym ja ci mógł być pomocnym, mów śmieje, wszystko uczynię i na teraz o niczem już innem myśleć nie będę, jedno o tém, jakby to jak najprędzej doprowadzić do skutku.

— Niech-że ci Bóg zapłaci!—odpowiedział na to pan Józef ściskając go po bratersku.

I od tego to momentu dopiero zaczął pan Józef konkurować na dobre. Nie było wprawdzie w nim przeto o tak bardzo wiele więcej energii, bo zawsze rozumem i śmiałością Barbarki zbijany z toru i pozbawiany odwagi, nad każdą myślą, nad każdym słówkiem niemal musiał on się długo namyślać, nim się zdecydował nakoniec zakomunikować go swojej oblubienicy, a i tu jeszcze nie rzadko się tak zdarzało, że nieraz, kiedy wśród swojej perory nagle popatrzył jęj w oczy, to zaczętego już okresu nie był w stanie dokończyć: toż jednak miał on już teraz czyste przynajmniej sumienie, miał z swego brata silną za sobą ścianę, o którą, błyskawicami Barbarki olśniony i na nogach zachwiany, mógł się przynajmniej oprzeć i na chwilę odpocząć; miał nakoniec komu się zwierzyć z swych myśli, o wątpliwościach swoich pogadać, rady czyjjejsz zacerpnąć, że przecież w kilka tygodni doprowadził do tego, że już zdaleka i ostrożnie począł napomykać o swoich sentymentach Barbarce. (d. c. n.)

*Zarząd XIII Okregu Komunikacyj.*

Dnia 27 listopada (9 grudnia) r. b., o godzinie 12ej w południe, odbyte zostaną w Biurze Zarządu XIII Okregu Komunikacyj dwie licytacje in minus przez opieczetowane deklaracje jedna na dostawę materiałów piśmiennych, rysunkowych, litograficznych i światła; a druga

na roboty introligatorskie i zszywanie akt, dla tegoż Biura, w ciągu lat 1854, 1855, 1856.

Mający zamiar ubiegać się o pomienione przedsiębiorstwa, winni w miejscu i czasie wyżej oznaczonym złożyć deklaracje, podług wzoru niżej zamieszczonego napisane wyraźnie, bez skrobania, poprawek lub przekreśleń, niemniej dołączyć wad um do pierwszej licytacji rs. 140, a do drugiej rs. 12 i na koszta ogłoszenia licytacji po rs. 7.

Deklaracje po terminie oznaczonym złożone, lub napisane nie podług wzoru i zastrzeżeń niniejszym ogłoszeniem wskazanych, przyjęte nie będą.

Nieutrzymujący się przy licytacji, złożone kwoty zaraz odbierze, utrzymującemu się zaś wadium zatrzymane zostanie, jako kaucya, do czasu spełnienia przyjętych zobowiązań, a zwróconą będzie ze złożonej na ogłoszenie kwoty przewyżka, jeżeli się okaże po złożeniu przez Redakcyę Gazet rachunku.

Każdy Konkurent złoży do pierwszej licytacji świadectwo Magistratu miasta Warszawy nie wcześniej, jak na dwa tygodnie przed terminem licytacji wydane, jako utrzymuje skład materiałów tak piśmiennych jako rysunkowych, mianowicie papieru i farb zagranicznych, tudzież materiałów litograficznych, a do drugiej przepisane świadectwo na wykwalifikowanego majstra rzemiosła introligatorskiego.

Warunki do licytacji przejrzeć można w Kancellaryi Zarządu XIII Okregu Komunikacyj codziennie, wyjąwszy święta, od godziny 10 zrana do 3ej po południu.

*D e k l a r a c y a.*

W skutek ogłoszenia z d. 3 (15 listopada) r. b. podaję niniejszą deklaracyę, iż podejmuję się dostawy materiałów piśmiennych, rysunkowych, litograficznych i światła (wykonania robót introligatorskich i zszywania akt) dla Biura Zarządu XIII Okregu Komunikacyj, w ciągu lat 1854, 1855 i 1856, wedłu zatwierdzonych warunków, i odstępuję na korzyść Rządu od cen oznaczonych temż warunkami N. procentów, t. j. od każdych 100 rs. należności jaka mi przypadać będzie, po rs. N. kopiejek N. (wypisać literami), poddając się wszelkim obowiązkom i zastrzeżeniom warunkami licytacyjnymi objętym.

Vadium rs. N. przy niniejszej deklaracyi składam, które w razie nieutrzymania się sam odbiorę.

Stałe moje zamieszkanie jest w N. pisałem w N. dnia N. miesiąca N.

Warszawa dnia 3 (15) listopada 1853 roku.

Naczelnik XIIIgo Okregu,  
Generał Major, Książe *Teniszew.*  
Dyrektor Kancellaryi, *Popławski.*

Piotr Śliżyński, Nauczyciel TANCÓW, podaje do wiadomości, że udziela lekcyę, tak w swoim mieszkaniu, jako też po domach prywatnych; przytém nadmieniam, że wyucza Osoby które wcale nie tańczyli i nie uczyli się, w 20tu kilku lekcyach 5ciu tańców najpotrzebniejszych; za pewność wyuczenia zaręcza;—mieszka pod Nr. 16 przy ulicy Śto-Jańskiej, na 1em piętrze; застаć go można od godziny 9 z rana do 7ej wieczorem.

Do dzisiejszego numeru dołącza się Korrespondent Nr. 92.